

Rocznik XIV Wrzesień — Październik 1921

KRÓLOWA APOSTOŁÓW

Organ Kongregacyi Misyjnej XX. Pallottynów

TREŚĆ:

Dobre słowo. — Skuteczność modlitwy.

Dla rodzin chrześcijańskich:

Jak się u Targoszów modlił przy stole
odmawia. — A one stały i stały.

Rozmałości:

Z kancelaryi niebieskiej. — Jezuita wśród
bandytów. — Wróżby z kart.

Gawędy Misjonarza:

O roku 30—50.

Kto mniema, że stoi, niech patrzy, aby
nie upadł.

Ze świata katolickiego:

Zjazd katolicki w Warszawie.

Z naszych domów misyjnych.

Od Redakcyi.

Adres: XX. PALLOTTYNI, Wadowice — Małopolska
Prenumerata wynosi za półrocze 30 Mkp. (3 Mk niem., 3 K czeskie.)

Dobre słowo.

Bez trudu, bez zachodu, bez kosztu żadnego, wiele dobrego uczynić możemy: jedynie — „dobrem słowem.“ Nie tem „dobrem słowem,“ które jako czczy wypowiadamy frazes grzeczności, ale „dobrem słowem,“ które z serca pochodzi; słowem uznania, współczucia; słowem miłości i serdecznej życzliwości. Wspomnijmy tylko własne chwile smutku, bólu lub żałoby; dni cierpienia, opuszczenia i osamotnienia; a dobrze odczujemy ile nam wtenczas „dobre słowo“ sprawiło radości i pociechy, ile łez i bólu ukojenia. „Dobre słowo“ rozjaśnia smutne nasze dni życia jak wiosenny promyk słońca dzień chmurny i słotny. Niejednego ze zwątpienia dźwiga toni i rozpaczy. A i w późniejszym życiu wspomnienie „dobrego słowa,“ usłyszanego z ust życzliwych, kozi serce zbolale i dodaje nowej siły i otuchy do dalszej pracy. Na niejednego spłynie z pewnością Chrystusowe „błogosławiony“ za to, że „dobre słowo“ niby jałmużnę duchową rozdzielał pomiędzy bliźnich swoich.

Wspomnijcie wy, którzy towarzystwo dowcipną i zajmującą rozmową bawić umiecie, że może właśnie w gronie, które bawicie, jest osoba, która pragnie z ust waszych usłyszeć „dobre

słowo“ czy to zachęty, czy uznania. Daremne wszakże czekanie, wam to nawet przez myśl nie przejdzie. Niebacznie stracona chwila spełnienia dobrego czynu. A tam może lzy płyną, żal, zawód, gorycz i życia wykołajenie. Ile wśród was może osób opuszczonych, smutnych, sierocych, które zwątpienie na złą pcha drogę, a jedno „dobre słowo“ na drodze dobrej utrzymałoby zdołało. Ileż to dusz w odosobnieniu żyje i zdala od ludzkiego towarzystwa dlatego tylko, że dobrego nie słyszały słowa. Są osoby, które cicho pełnią obowiązki swoje względem nas i co chwila nowe nam oddają usługi i nic więcej jak tylko „dobre słowo“ w nagrodę usłyszeć pragną; a my przechodzimy koło nich bez jednego słowa uznania. I dziwimy się potem, że w nich gorliwość i zapal słabnie, a zniechęcenie ogarnia. Brak „dobrego słowa“ jest tego przyczyną, bo ono więcej sprawia radości i pociechy, niż kosztowny podarek, podany z kilkoma suchemi słówkami grzeczności.

I chciałbyś jeszcze „dobrem słowem“ skąpić i sknerzyć jak chciwiec, co drugim nie użyczy niczego? „Dobre słowo“ to jałmużna, im obficie rozdawana, tem większe przynosząca zyski w miłości i w życiu tem i w przyszłym.

Skuteczność modlitwy.

W czasie wojny przyniesiono pewnego dnia do lazaretu etapowego ciężko rannego oficera. Otoczono go jaknajtroskliwszą opieką, lecz już po kilku godzinach przekonano się, że niema nadziei utrzymania go przy życiu. A że ranny, pomimo wielkich cierpień, zupełną posiadał przytomność, pytała pielęgnująca go siostra miłosierdzia, czy nie przywołałby mu kapłana. Lekki uśmiech zaigrał na twarzy rannego, ale wszelką pomoc kapłańską odrzucił z całą

stanowczością. Nie pomagały mu i dalsze prośby siostry, więc wkońcu rzekła: „W takim razie nie pozostaje mi nic więcej, jak tylko modlić się za pana, aby miłosierdzie Boże go uratować raczyło.“

Zdziwiony poniekąd oficer spytał: „Jakto, za mnie, człowieka zupełnie obcego, zamierza siostra modlić się?“ „Dlaczegoż nie,“ odrzekła siostra „przecież i tak już modłę się za pewnego, błądzącego po bezdrożach niewiary, człowieka, którego mi-

gdy nie widziałam.“ Oficer, zaciekawiony, prosił, aby mu powiedziała co ją skłoniło do tej modlitwy. Natenczas siostra tak mu opowiadać zaczęła: „Matka moja była przed dziesięcioma laty przez dłuższy czas zatrudniona u pewnej hrabiny, bardzo pobożnej pani. Hrabina miała syna, który zupełnie utracił wiarę i zapewne dotąd jeszcze trwa w swoim błędzie. Z ufnością prosiła hrabina mą matkę, aby wraz z dziećmi raczyła się modlić za jej bezbożnego syna. Czyniliśmy to w rodzinie naszej każdego wieczoru, a odkąd wstąpiłam do zakonu, nie minął jeszcze jeden dzień, abym nie modliła się za owego zupełnie mi nieznanego syna hrabiny i nie prosiła Boga o miłosierdzie dla niego. Chodzi tu o duszę nieśmiertelną, więc modlitwa nasza i pobożnej matki błędzącego syna, nie może przebrzmieć niewysłuchana.“

Z wielką uwagą słuchał ranny tej prostej opowieści. A gdy siostra skończyła, zapytał ją wzruszonym głosem w jakiejby przedtem miejscowości mieszkała. Otrzy-

mawszy odpowiedź zamilkł i długo, długo, widocznie wyczerpany, leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami. Cisza zaległa pokój, tylko pielęgniarka powoli spuszczała jedno ziarnko po drugim u swej koronki, modląc się za niego. W końcu, otworzywszy oczy; z głębokiem wzruszeniem w te odezwał się słowa: „Proszę, siostro Kochana, przywołać mi kapłana. Poznaję, że błędziłem, opierając się tak długo. Ten, za któregoś, czcigodna siostro, nie znając go wcale, modliła się przez lata całe, leży tu przed tobą. Proszę cię, błagaj Boga, aby mi raczył udzielić łaski, bym szczerze i ze skruchą mógł się wypowiadać.“ Kilka godzin później skończyły się cierpienia wojaka. Pojednany z Bogiem, zakończył życie swoje.

Oto wyraźny dowód siły i wartości wytrwałej modlitwy. Oby jak najwięcej, tak łatwo rozpaczy się poddających chrześcijan, przykładem tym pokrzepiło gasnącą swą wiarę.

—::—

Dla rodzin chrześcijańskich.

Jak się u Targoszków modlitwy przy stole odmawia.

Nie ładne to wprawdzie, ale nie mogę tego przecież inaczej opowiedzieć, tylko tak, jakem to widział i słyszał.

Pełni oczekiwania siedzą wszyscy przy stole, uparcie i poządlwie patrząc na drzwi i rozmyślając o tych wspamiętaniach i przysmakach, które w nich każdej chwili ukazać się miały.

„Mamusi, czyż nie będzie to zaraz? Doprawdy przecież czasby już był,“ mrucał ojciec Targosz, spoglądając przez uchylone drzwi do kuchni skąd donośny brzęk naczyń dochodził.

„Przecież z pewnością możesz jeszcze trochę zaczekać,“ wróciło niby mrukiwe echo z kuchni.

Ale zaraz potem ukazała się pani Targoszowa z wielką, dymiącą, misą w obydwóch rękach. Z rozmachem po-

stawiała ją na stole, jak — gdyby do niego przygwożdżoną być miała. Pięć młodych Targosząt siedzi już za stołem, tylko jednego jeszcze niema.

„Jednak ten hycel znów wyleciał, choć wie, że jedzenie gotowe,“ mruczy pani Targoszowa, z trzaskiem otwiera okno i krzyczy na podwórze: „A nie przyjdiesz ty tu zaraz, ty bebnie?“ Jeno jeszcze raz spróbuj uciec, zobaczysz, już ja ci wtenczas pokażę.“

I z brzękiem zatrzaskuje okno.

„Dalej, do modlitwy!“ rozlega się groźna komenda nad głowami młodych Targosząt.

Gwałtem odrywają oczy od apetycznych potraw na misie, do których aż im ślina cieknie i poczynają się modlić. Trzech starszych mówi pierwszą część modlitwy, inni im wtórzają. Wszy-

scy siedzą. Żadno nie zada sobie trudu modlenia się stojąco. Przecież i ojciec siedzi wygodnie i ani myśli powstać. A od niego nauczyli się malcy, że przy modlitwie wysilać się nie należy.

Więc rozpoczynają: W imię Ojca... Ojcie nasz... W tej chwili otwierają się drzwi i jednym susem wpada do izby Pietrek, zatraskuje drzwi za sobą, aż okna zadrżały i zdyszany staje przy stole obok matki. Szybki, zamaszysty policzek spadł natychmiast na jego twarz. Pochylił się czemprędzej, aby uniknąć drugiego, gdyż Pietrek dobrze wie, że matka w szafowaniu temi specjalami wcale nie jest skąpa. Targoszeta przypatrują się tej scenie z nawpół szyderym, nawpół złośliwym uśmiechem, ale modlą się machinalnie dalej: Święć się imię Twoje... Pietrek wpada także w tok modlitwy i przekrzykując drugich, przepędza innych z pośpiechem i bez wytchnienia.

„Cóż teraz tak pędzisz, ty bębnie?“ napada go matka i zamierza się do nowego ciosu, ale ten chybił celu, a Pietrek skwitował go złośliwym uśmiechem i chytrem w bok spojrzeniem.

„Przed siebie patrz, Jadziu, Pan Bóg ci się przygląda!“ wpada matka na ten raz nieco ciszej w trzecią prośbę modlitwy. Jadzia ogląda swoje brudne ręczeta, podczas gdy reszta rozgląda się we wszystkich kierunkach świata. I tak modlą się dalej bez wytchnienia, bez odpoczynku, bez przestanku, niekiedy tylko głęboko tchu sięgając jakoby w ucieczce przed jakimś dzikim jeźdźcem, który im tuż, tuż na karku siedzi.

„Magdziu, utrzyj sobie ładnie nosek.“ I mała Magdzia naraz zostaje spłoszona z całego swego nabożeństwa. A drudzy żwawo krzyczą dalej: Chleba naszego, powszedniego... aż nowa na nich spada burza: „Leon, co tak ciągle łokciem szturchasz Magdzię? Poczekaj, zaraz ja przyjdę do ciebie.“

Leon pochylił się zawstydzony,

Magdzia czyści brudny nosek, a matka pochyla się nad stołem, by małemu Olesiovi zabrać łyżkę, którą tenże zamaszysto chlustał po zupie, aż krople mu twarz bryzgały. Jeżeli wszakże w ciągu trzech zdań nie przyjdzie do jakiegokolwiek urozmaicenia, natenczas poczyną które z nich ziewać, co potem przechodzi przez szereg cały aż do ojca i matki; ale każde modli się i ziewa i rozgląda wokoło, jakoby modlitwa wszystkim innem była, tylko nie rozmową z Bogiem.

Nareszcie kończy się tak „Ojcie nasz“ jak i „Zdrowaś Marya.“ Wszyscy oddychają z ulgą. Teraz jeszcze szybko znak krzyża św., a potem dalej do zupy. Ręce i rączki załopocą przez chwilę w powietrzu, padają Bóg wie gdzie, tylko nie na czoło, piersi i ramiona. Jeszcze raz upomina matka: „Tylko ładny znak krzyża św. zrobić, dzieci!“ Ale jej słowa giną wśród burzy końcowego akordu.

A potem siedzą wszyscy wyczerpani i zmęczeni, jak po jakiej znoјnej pracy i spoglądają zawistnym wzrokiem jak ojciec swoją część zupy wybiera.

„Co też to za ciężka praca jest ta modlitwa, matko,“ odzywa się ojciec Targosz, biorąc pierwszą łyżkę zupy do ust.

„A ty starym jesteś niedołęgą, bo byś też kiedy dzieci trochę strofował,“ rzekła gniewnie pani Targoszowa.

„Czy nie wystarczy gdy ty to czynisz?“

„Dzieci muszą być wychowane, i basta. Jeżeli niema porządku w domu, to i utrzymać nic się nie może,“ zakończyła pani Targoszowa rozprawę, ostrym ruchem przysunęła krzesło do stołu i opuszczała się na niej całym swym ciężarem.

My zaś pożegnamy rodzinę Targoszów. Albo, czy miałby kto może ochotę przyjrzeć się, jak po takiej modlitwie odbywa się samo jedzenie?

A one stały i stały.

Gdzieś tam wydarzyła się następująca osobliwsza historia. Oto stały obok siebie dwie kobiety na ulicy. Długo, długo, bardzo długo one stały.... Były to sąsiadki. Razem wybrały się na targ, razem robiły zakupy, razem spędziły niejedną już kwadransik na paplaninie z przyjaciółkami i znajomymi, razem wracały do domu, a jednak nie wszystko jeszcze rozpowiedziały, co koniecznie musiały opowiedzieć. O, wcale nie wszystko, daleko jeszcze do wszystkiego. I oto stały one przed jednym domem nie zwracając już wcale uwagi ani na czas, ani na obowiązki, nie spostrzegając wymownych uśmieszek przechodzących. Abo też rozmowa była w rzeczy samej bardzo zajmująca. Coraz to bystrzejszym potokiem lały się słowa, coraz to bardziej kwiecistą i obrazową stawała się mowa, coraz żywsze i gwałtowniejsze towarzyszyły jej ruchy i gesty, coraz to bliżej stykały się ich głowy, coraz wyrazistszą stawała się mimika w ich twarzach. Zdawało się, że gdy w ten sposób i dalej wątek rozmowy będzie się rozwijał — jeszcze do wieczora będą tamowały swobodny ruch na ulicy.

Z okna górnego piętra sąsiedniego domu wyrzwał młody doktor medycyny. Już dłuższy czas przyglądał się tym kobietom i dziwił się, jak to te dwie papele mogą nie czuć znużenia.

Gdyby się im tak przyszło przestać choć połowę tego czasu, aby komu jaką usługę okazać, toby może tego nie uczyniły, bo uważałyby to za „nadto uciążliwe“. Ale młody doktor miał dobre serce, jak to bywa u wszystkich młodych doktorów. I przez swą dobroć wziął dwa krzesła — jedyne, które w swoim pokoju posiadał — zaniósł je na dół — na ulicę, postawił przed kobietami i, pokłoniwszy się im, przemówił: „Panie już zapewne bardzo zmęczone — proszę siadać.“

Jaki to skutek wywarło, może sobie każdy wedle upodobania wymało-

wać. Ale, podobno, ta rozmowa prędko się zakończyła.

Zdarzają się też zapewne i w innych miastach i wioskach podobne kobiety i dziewczyny, które, jak żywe kwiaty, ozdabiają drogi i ulice. Szkoda tylko, że nie wszędzie znajdzie się jaki doktor z takim dobrem sercem, który byłby gotów zaoferować w takim wypadku swoje jedyne parę krzeseł.

Naturalnie nikt nie może mieć nic przeciwko temu, jeżeli, spotkawszy wypadkiem znajomego, zatrzyma się z nim kilka minut, aby z nim pogawędzić o rzeczach potrzebnych, a może i o niepotrzebnych. Ale to już co innego, gdy kobiety prawie ze zwyczaju, tylko z zamięłowania do gadulstwa i paplania, zatrzymują się dłuższy czas na jednym miejscu, zapominając przez gadulstwo, że im dalej iść potrzeba.

Z tą wielomównością to wogóle zdarzają się rzeczy osobliwsze. Są ludzie którzy mogą mówić i mówić bez ustanku — tryska i płynie i pleskocze u nich jak w jakim wodosпадzie. Stoi się przed nimi ze zdumieniem i pyta się z podziwem, skąd to ci ludzie tyle słów, a tem bardziej myśli wydobywają. Ale gdzież tam! może to wcale nie potrzeba mieć wiele myśli, aby wiele mówić. Możliwe, że same tylko słowa wystarczają, aby zabić czas drogocenny. I w rzeczy samej, jeżeli się zapytać samego siebie, gdy się tak w milczeniu słuchało godzinę, albo kilka godzin i dozwalało, aby ten nawał słów nas przygniatał, o czem to właściwie mówiono, niejednemu trudno będzie coś pewnego odpowiedzieć, a jeszcze trudniej by było tok myśli wypowiedzianych skreślić na papierze. Gdyby kto zechciał zapisać dosłownie kilka takich rozmów w jakiej książce, toby prawdziwie nader dziwaczna książka się utworzyła.

Wielomówni bo nie zawsze bywają najbardziej dojrzałymi i głębokimi my-

ślicielami. A ilość i obfitość słów ich dość często stoi w odwrotnym stosunku do ich wiedzy i umiejętności.

Podobno prawdę mówi to stare przysłowie: „Dlaczego dzwon jest głośny? — bo wewnątrz jest próżny,” a i najgłupsze gęsi krzyczą najdonośniej i wiatr w liściach wyschniętych największy szelęst robi. Czujemy się zawsze jakoś nieswojsko wśród ludzi, którzy wiele gadają, chociażbyśmy nawet mieli czas do słuchania. A jeżeli tacy ludzie w samej rzeczy coś umieją i są wykształceni, to wpadają łatwo w ton profesorski — jest to sposób mówienia u ludzi, którzy przywykli widzieć we wszystkich innych — szkolników, bo i nie umieją inaczej dzielić wszystkich ludzi jak na profesorów i uczniów — na mądrych i głupich. Zapominają o tem, że może inni zazwyczaj uważają ich perorowanie za arcynudne, osobliwie jeżeli jest połączone z pewnego rodzaju narzucaniem siebie i swej wiedzy. A jeżeli to są ludzie niewykształceni i nie potrafią w swych długich gadaniach nic powiedzieć, jak tylko rzeczy nudne i banalne, albo takie, które tylko ich samych obchodzą, a nie słuchających, to czujemy się po tej obfitości słów znużonymi i znudzonymi aż do cikliwości i obrzydzenia.

A potem wielomówność nie bywa bez grzechu. Może się rozpocząć zupełnie niewinnie, ale stopniowo wkradają się i uchybienia, naprzód małe, potem większe, aż dojdzie do ciężkich obmów i czi kalania. Z początku czyni się to z pewnemi wyrzutami sumienia, jakiś głos nie dający się przytłumić gryzie nas i to ciszej, to głośniejszy odzywa się wewnątrz ze swem ostrzeżeniem. Ale w tej kaskadzie słów wyrzucanych to z szumem, to szeptem, to z mrukiem, giną wszystkie wewnętrzne upomnienia. Dochodzi do tego, że można do nich zastosować te słowa Zbawiciela: „Są komarami, a polykają wielbłądów.” U innych uważają śmiechu warte drobnostki za wielkie

przestępstwa, a u siebie nie mogą zauważyć występków, chociażby były wielkie jak wielbłądy.

A jak niezmiernie wiele złego przyczyniają ludzie, którzy mówią wiele i bez zastanowienia.

„Ich gardło to grób otwarty,” mówi Psalmista (Ps. 13, 3). Jak z grobu otwartego wydobywa się z ich serca i języka śmierć i zgnilizna i tem więcej, im silniej potrafią poprzeć swoje przekonania i sądy. Bo też w wielkim koncercie życiowym to tak, jak w każdym koncercie: głosy trąb i fałszywe tony dźwięczą najprzenikliwiej. Ich słowa działają na niwę moralności jak strzały zatrute, które się w serca wpijają.

Pożałowania godni są ludzie, którzy na swem własnem życiu muszą doświadczyć, co to znaczy, gdy wały kłamstwa uderzają o ich serca, aby zmieść nielitościwie co mają najdroższego — ich cześć i dobre imię!

Ale może takie gorzkie doświadczenie stanie się dla nich zbawienną nauką, aby oni sami niepowściągliwą mową swoją nie zadrasnęli duszy bliźniego. Nauka taka, choć gorzka, byłaby jednak bardzo pożyteczna.

Gadulstwo nie obywa się bez grzechu, gdyż nader łatwo staje się gadaniem, nad którem trudno zapanować.

Potrzykroć błogosławione są usta, które milczą! Kto z nas, gdyby umiał milczeć, nie wypowiedziałby niejednego zjadliwego słowa, które przez zadrność i zawiść, przez nadto wybujałą fantazyę, przez głupie gadulstwo wyrwało się, a głęboko zadrasnęło serce bliźniego?

Czy potrafimy prześledzić te ponure ścieżki, jakimi szły te słowa poddyktowane namiętnością — wiele one złego zrobiły, choć może o tem i nie wiemy.

Kiedyś my się to dowiemy. Wtedy dopiero w całej pełni okaże się nam prawda tych słów: „Potrzykroć błogosławione usta, które milczą.”

R o z m a i t o ś c i .

Z kancelaryi niebieskiej.

Niedawno temu zjawił się w niebieskiej kancelaryi gość wcale niezwykły: otyły jakiś jegomość z szerokim złotym łańcuszkiem na okrągłym brzuszku, złotymi binoklami na nosie i takimiż pierścieniami na palcach, stanął w nieuniknionym w obecnych czasach ogonku, bo to już tak ludzie dzisiaj do wszelakiego rodzaju ogonków przyzwyczajeni, że nawet w kancelaryi niebieskiej, gdzie wszystko niezwykle sprawnie i szybko się załatwia, ogonki tworzyć poczynają, i czeka. Batystową chusteczką raz po raz pot z czoła ociera, bo takiemu pełnemu jegomościowi zwykle gorąco bywa, a już szczególnie, gdy obawa iaka, ciężkiem próżnowaniem strudzoną tłoczy głowę.

Dziwne on przy niebieskiej furcie sprawiał wrażenie, jako że taki jegomość rzadko się tam zjawia, a jeszcze rzadziej się dlań niebieska otwiera furta. Więc ten i ów podejrziwem na niego spogląda okiem, jakoby rzec chciał: „A ten na jakie się tu zjawił lichy?” Ale, że to każdy, co na tej biednej żyje ziemi, w księgach niebieskich jest zanotowany, więc i dla sprawdzenia osoby swojej w kancelaryi niebieskiej zjawić się musi.

Przyszła kolej i na grubego jegomości.

— Imię i nazwisko? — pyta niebieski kancelista.

— Onufry Próżnowalsio.

— Zawód?

Kłopotliwe milczenie.

— Zawód pański? — pyta pisarz.

Rumieniec wytrysł na twarzy grubego jegomości, nie wiedzącego, jaką na pytanie to dać odpowiedź. Zawód, zawód? hm, czemuż ja właściwie byłem? — rozmyśla gruby jegomość — kupcem? nie...

— No, przecież pan musiał mieć jakiś zawód, rzemiosło, zajęcie; musiał

przecież czemś zarabiać na chleb codzienny, albo się przynajmniej czemś zajmować? — przerywa rozmyślanie jego kancelista niebieski.

I już miał powiedzieć, że handlarzem był, kiedy jakiś niedyskretny chłop, tuż za nim stojący, a ciekawie się przysłuchujący i obserwujący grubego jegomości, całą gębą za niego rzecze:

— Ej, niech no tam pon pisorz paser napiszą, bo kiej ten pon nie wie-dza, co na ziemi robili, to pewnikiem ta byli paskarzem albo szwarcownikiem.

— Paskarz, a to co znowu za zawód? — pyta zdziwiony kancelista.

I począł szukać po niebieskich księgach, słownikach, encyklopediach i przeróżnych foliantach, ale nigdzie nie mógł takiego znaleźć miana. Byli tam już wprowadzie zanotowani rozmaici sekciarze, zbrodniarze, nawet sprzedawczyki i innego rodzaju przestępcy, ale paskarza — nie — takiego jeszcze nie było. Nazbierało się ksiąg przeróżnych na stole moc wielka, aż to samemu podpadło św. Piotrowi, który biura tego jest naczelnikiem i o powód tego zapytał.

— Jegomość jakiś się tutaj zjawił, który był paskarzem, a we wszystkich naszych księgach nazwy takiej nie znajduje.

Św. Piotr zmierzył grubego jegomości od stóp do głowy badawczym wzrokiem i rzekł:

— Paskarzem? To sprawę tę na miejscu zbadamy przez specjalną komisję, a tymczasem niech ten jegomość przed bramą zaczeka.

Z rzadką miną wycofał się gruby jegomość z kancelaryi. — Masz tobie, znów komisya, a z tą chyba nie będzie żartów, bo ona wszystko wyszpera. A tak blisko już był nieba... A teraz?... Gdyby nie ten chłop...

Tak myślał i marzył, siedząc na kamieniu przed bramą niebieską.

A zdala jęk go dochodził i płacz głuchy dusz potępionych.

::

Jezuita wśród bandytów.

Świątobliwy towarzysz św. Ignacego Lojoli, O. Mikołaj Bobadylla, przechodził raz w swych apostołskich wędrówkach, przez pustą, niezamieszkałą dolinę, położoną w królestwie neapolitańskim. Naraz otoczyła go gromada rozbójników, wspólników bandy szerzącej postrach w całej okolicy. Dzikie ich twarze i groźne, surowe głosy nie zdołały zatrwożyć O. Bobadyllę. Ochocho postępowal za nimi i dobrej będąc myśli, dzwiecznym, przyjemnym głosem śpiewał jedną pieśń duchowną po drugiej. A dzikie wilki, łaknące jego krwi, zdawały się zamieniać w spokojne jagnięta, przynajmniej zamilkły wyuzdane mowy, a srogość ich ustępowała miejsca pewnej wesołości. Zauważył to dobrze ludzi znający misyonarz i w ten sposób odezwał się do niemiłych towarzyszy: „Moi drodzy przyjaciele! Wyglądacie jak ludzie, którzy już dawno nie słyszeli kazania. Co myślicie? jeżeliby to wam było przyjemne, mogę wam służyć kazaniem. Gdy skończę, możecie sobie ze mną całkiem według swojego upodobania postąpić.“

Głośny śmiech i wesołe wykrzykniki dowodziły zgody i gotowości opryszków słuchania słowa Bożego. Więc O. Bobadylla wskoczył na w pobliżu leżący odłam skały i tak rozpoczął: „Im pilniej się wam przypatruję, tem lepiej widzę między Chrystusem Panem a wami całkiem dziwne podobieństwo!“

„Brawo!“ krzyczał chór rozbójników i wszyscy wyciągali szyje i nadstawiali uszu, by lepiej usłyszeć, co ten niezwykle kaznodzieja za podobieństwo wynajdzie.

„Chrystus żył!“ mówił O. Bobadylla, „zawsze między grzesznikami — wy tak samo!“

Znacząco spoglądali rozbójnicy jeden na drugiego.

„Chrystus wędrował wiele i często przez góry i doliny, nie miał pojazdów ani zaprzęgów jak ludzie bogaci — tak i wy!“ Gorliwem przytakiwaniem okazywali bandyci swoje zadowolenie.

„Chrystus nie miał nic, na czymby mógł głowę Swoją ułożyć, bez dachu był i chaty i pod gołym nieraz sypiał niebem — a czyż położenie wasze jest lepsze?“ Pomruk pełen zadowolenia.

„Chrystus nauczał: — A gdyby kto zabierał szatę twoją, daj mu i płaszcz! — Czyż i wy nie jesteście tego samego mniemania?“ — Głośne, burzliwe oklaski całej hordy.

„Chrystus groził wielokrotnem „biada!“ sytem i łakomym bogaczom — wy to samo czynicie!“ Burzliwe oklaski i okrzyki bandytów.

„Chrystus niejednokrotnie musiał unikać zasadzek swoich nieprzyjaciół, a gdy Go w swojej mieli mocy, krzyczeli jednogłośnie: „Na krzyż z Nim!“ — Wam to samo grozi — prześladowanie i śmierć haniebną!“ — Głuche, gniewne okrzyki i szczęk broni dowodziły, że kaznodzieja znalazł w nich oddźwięk i uznanie.

Ale teraz podniósł się O. Bobadylla do całej swej wielkości i tak mówił dalej, na każde słowo ostry kładąc nacisk: „Chrystus umierając na krzyżu, raj przyobiecał przy boku Jego wiszącemu łotrowi i zbójcy, a z nim razem i wam wszystkim, jeżeli pokutę czynić będziecie!“

Cisza zaległa wkoło. Poważnie poglądają bandyci ku ziemi, a O. Bobadylla podnosi głos, zwraca się do stojących w przerażeniu rozbójników w słowach pełnych apostołskiej szczerości, ale zarazem i ojcowskiej łagodności. Rzadko kiedy osiągnął kaznodzie-

ja skutek tak zupełny, jak tu: wszyscy porzucili niecne swoje rzemiosło i wiedli odtąd żywot budujący wprost i chrześcijański.

Mówmy zatem i postępujmy również po chrześcijańsku względem tych, którzy się nam wydają bandytami.

Wróżby z kart.

Niejeden się uśmiechnie, gdy ten tytuł przeczyta i pomyśli sobie: „Pocóż wywłóczać takie przestarzałe rzeczy, o których w dzisiejszym cywilizowanym świecie nikt już prawie nie wie?” Tak się może zdaje, ale tak nie jest w istocie. Nie tylko w tych zacofanych okolicach, w których ciemno jest jak w bucie, nie tylko tam, gdzie świat deskami zabity, uciekają się do wróżbiarstwa z kart, ale i w naszym cywilizowanym świecie, w naszych miastach, ludzie nawet wykształceni, szczególnie pleć piękna, nie tylko w żartach, dla zabawy, ale na serio chcą, aby im z kart wrócono.

Wiele jest mądrych ludzi na świecie, takich, którzy dużo się uczyli i mozolnem studyami znakomitych nabyli wiadomości. Ale przy wszystkich tych naukach nikt jeszcze do tego nie doszedł, aby z kart mógł wyczytać ukryte przyszłe rzeczy. — I otóż, czego najmądrsi ludzie, pomimo nauk i badań, nie zdołali dokazać, to jakoby udało się niektórym babom i dziewczkom. To też dużo jest w naszym cywilizowanym wieku kobiet, które w książce trzech słów uczciwie przeczytać nie umieją, a jednak takie są mądre, że z czerwienego tuza, albo żółtego niżnika wyczytać chcą, jakie się tajemne dzieją rzeczy, albo co się stanie w bliższej lub dalszej przyszłości. Każdy człowiek mniej lub więcej jest ciekawym i niejeden miałby szczerą ochotę uchylić nieco zasłony, za którą przyszłość się chowa. Ale to daremne zakusy. Tylko wróżki przypisują sobie ten przywilej. Chciałbym doprawdy wiedzieć, na której akademii taka stara jędza słuchała mądrości, że z karty przepowiedzieć umie, co się w przyszłości stanie. Ty i ja i wszyscy rozsądni ludzie byliśmy za-

wsze tego zdania, że Pan Bóg i tylko sam Pan Bóg wie, co się w przyszłości stanie, a tu i stare baby tę mądrość sobie przypisują! Ja sądzę tak, że ciekawe te baby niezadowolone były z tego, że tylko sam Pan Bóg znać ma przyszłe rzeczy, dlatego rzuciły się na studyum z całym zapalem i otóż — rozjaśniło się im w mózgownicy: znają i przeszłość zakrytą i przyszłość, a światło to z kart im przyświeca.

Ale mówmy poważnie. Rzecz to pewna, że nie tylko te osoby, które z kart wróżą, ale i ci, którzy w te wróżby wierzą, grzeszą przeciwko pierwszemu przykazaniu, uwłaczają czci Pana Boga. Bóg sam jest wszechwiedzącym, On sam wie wszystko, On sam zna przyszłość. Skoro więc ktoś przypisuje sobie, że to samo wie, co tylko wiedzieć może sam Pan Bóg i ten, któremu On to objawi, ten mówi innemi słowy: „Co się tyczy wszechwiedzy, jestem równy Panu Bogu, z tą tylko maleńką różnicą, że jestem wszechwiedzący zapomocą kart, a Pan Bóg bez kart!”

Ci zaś, którzy sobie każą kłaść karty i wierzą w przepowiednie ciemnych bab, są nasamprzód niesłychanie głupimi, a potem bardzo grzeszą, bo kobiecie chciwiej zysku, oszustce, przypisują przymiot, który się należy samemu tylko Bogu, a którego ona nie ma sama z siebie, ani też jej Pan Bóg nie mógł go udzielić. Albo czy sądzisz może, że nieskończenie mądry Bóg poda starej jędzy, która więcej ma grzechów na sumieniu, niż włosów na głowie, karty do ręki, aby z nich ludziom przyszłość przepowiadała? Nie, tak głupim nie jesteś. Jeżeli się czasem zdarza, że się sprawdza to, co wróżbiarka przepowiedziała, to albo

tylko przypadek, albo też może sprawka złego ducha, który niejedno wie, co dla nas jest tajne, a który z tej wiadomości na szkodę dusz ludzkich korzysta. Po największej części jest to wróżbiarstwo pospolitem oszustwem. Wróżki przepowiadają zwykle w ogólnikach, dwuznacznie, tak że można te przepowiednie naciągać do późniejszych wydarzeń, a potem głównie mówią to, co człowiek sam zresztą wie, a szczególnie to, co usłyszeć pragnie. Młodej n. p. dziewczynie przepowiedzieć, że znajdzie męża, to doprawdy nie sztuka, dodać można i zazdrosnego, który stoi na zawadzie, i trochę przeszkód i nieco łez, ostateczne szczęście — to wszystko zwykle się sprawdza, i wróżka tak wszystko dokładnie przepowiedziała! Jeżeli zaś w małżeństwie tego szczęścia zabraknie — no, to o to nikt wróżkę nie pytał! Jakiego zaś nieszczęścia taki zabobon może być powodem, pokaże następujące zdarzenie.

W Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej mieszkała u pewnej pani skromna, porządna i pracowita pannotka. Pewnego dnia zginął pani pierścień, a gdy go długo daremnie szukano, poszła jejmość do wróżki. Ta wsadziła okulary na nos, rozkładała długo karty i ostatecznie orzekła: „W domu pani mieszka ktoś, co udaje bardzo niewinnego, a jednak pierścień ukradł.“ Któż to może być, jeżeli nie ta skromna i niewinna pa-

nienka? — pomyślała sobie pani, wpadła jak furja do domu, nazwała pannotkę złodziejką i groziła jej policyą i więzieniem. Daremnie dziewczę się zaklinało, daremnie błagało, zabobonna kobieta obstawała przy swem twierdzeniu. Nie mogąc znieść tej hańby, wypilo dziewczę z rozpacz truciźnę i poszło do lazaretu, aby tam życie zakończyć. Na ulicy padła w konwulsyach, więc zaniesiono ją do szpitalu i zarządzono wszelkie środki, aby jej życie ocalić. Gdy przyszła do siebie, opowiedziała, co się stało. Posłano natychmiast po ową panią, aby sama widziała ofiarę swego zabobonu, ale ta, nieporuszona, krzyczała jak szalona, że dziewczę pierścień ukradło i niech tylko do zdrowia powróci, to natychmiast je odda w ręce policyi. Do tego jednakże nie przyszło, bo biedna ofiara wkrótce umarła. I dziewczę, jak się okazało, było istotnie niewinne, bo pierścień pani u siebie schowany znalazła.

Cóż tu więcej podziwiać, czy niesu- mienność tej baby, która ogólnikowem orzeczeniem na najniewinniejszą osobę zwróciła podejrzenie, czy też zabobonną kobietę? I czyż takich nieszczęść mało już karty wywróżyły? Doprawdy lepiejby było dla takiej osoby, która jedną nogą już w grobie, a drugą blisko grobu, gdyby zamiast kart wzięła do ręki różaniec, a wten- czas sobie przynajmniej mogłaby wywróżyć — miłosierdzie u Boga.

Gawędy Misyonarza. (C. d.)

Od roku 30 — 50.

Nie jestem coprawda plebanem i nie byłem nim też nigdy, nie jestem też małżonkiem, a tem mniej małżonką, z czegom tylko bardzo rad; ale pomimo to mogę przecież i w tych sprawach jakowas dać poradę. Przecież i lekarz wydaje zarządzenia i przepisuje choremu i djetę i le-

karstwo, choć nigdy w swem ciełe nie od- czuwał jego choroby.

Was dwoje jest zatem po ślubie, poda- liście sobie nawzajem dłoń, że jedno dru- giego nie chce opuścić. A jakże teraz? Czy jeszcze żadna strona, a może i oby- dwie strony nie żałowały już ślubowania

swojego? Bądź rozsądny i nie oglądaj się długo poza siebie i nie dręcz się niedorzecznymi żałami: „Ot, gdybym tak i tak był zrobił, gdybym tego albo tę był pojął, albo gdybym lepiej był wolnym pozostał.“ I cóż dziś takie sarkanie i narzekanie pomóc ci może? Już tego nigdy cofnąć nie można, tak jak nie można Wisły zawrócić, by od Tczewa z powrotem ku Warszawie i Krakowu płynęła i aż do Śląska w Beskidy ^{wyżej}, skąd swój wzięła początek. Zato na dzisiejszy patrz dzień i dobrze sobie rozważ, jak ci ^{to} ^{się} teraz urządzić trzeba, by i tu żyć szczęśliwie i do wieczności dobrą uzyskać przeprawę.

Przedewszystkiem starajcie się o jedność. Gdy dwa woły w jednym idą jarzmie, a jeden w prawo by chciał iść, a drugi w lewo, ten naprzód, a tamten wstecz: to oba ^{nie} męczyć się będą nawzajem, a wóz nie ruszy się z miejsca, a przynajmniej nie ^w właściwy sposób, i łatwo do jakiegoś ^{rowu} wpadną rowu. — Tak, ale któryż to wół ma drugiemu ustąpić? Toć mógłby każdy do drugiego powiedzieć: „Jam tyle co ty; zastosuj się ty do mnie, bo ja się do ciebie stosować nie będę.“ A tak samo mógłby i drugi wół ^{do swego} powiedzieć. Jakże więc temu zaradzić? któryż z tych dwu wołów ma słuszość? — Żaden nie ma słuszości, jeżeli żaden nie chce iść tam, dokąd go woźnica prowadzić zamierza; ale jeżeli jeden, ^{według woli} ^{woźnicy}, natenczas ma jego współwół do ^{tego} ^{się} zastosować. — Zastosujmy to teraz do małżonków. Nie chcę ja was tem bynajmniej lżyć i sromocić, jakobyście byli wołami; gdyż to wie bardzo dobrze świat cały, że małżonkowie to przecież nie woły; jest to ni by tylko porównanie, a znaczenie jego takie: Jeżeli niema między wami jedności,

to i lichy pójdzie wam w życiu; choćby nawet jedno dobrze robiło, n. p. gdy karze dzieci, jeżeli nie są posłuszne, albo co zle go czynią, a druga strona się temu sprzeciwia i dzieci uderzyć nie pozwala, to i ta rozumniejsza i lepsza część małżeństwa niewiele dokaże — oboje źle powozić będą, a wychowanie dzieci wyda plony bardzo nędzne. Ale któreż ma do drugiego się zastosować? Czy może żona do męża? Takby właściwie według prawa i woli Bożej być miało. Bo Bóg mężczyznę głową ustanowił, by żoną i rodziną kierował, a i apostoł pisze: „Niewiasty, bądźcie mężowi poddane.“ Ale gdy mąż nie mężem, ale dzieciakiem jest (choćby i czterdzieści a może i pięćdziesiąt lat już liczył), t. zn. gdy się jeszcze jak nierozsądny, niesforny dzieciak zachowuje, który ani samym sobą rządzić, ani nad namiętnościami swemi panować nie umie, który się może upija, albo pycha nadętą ^{ma} ^{głowę}, albo religii nie ma ^{może} ^{więcej}, ^{ani} ^{ten} ^{pies} ^{pod} ^{stołem}, albo nawet wpadł w stek podłości, w cudzołóstwo — czyż taki może przewodniczyć w domu? Byłoby to równie źle, jak gdyby błazna burmistrzem lub nocnym zrobiono stróżem.

Dlatego nie koniecznie ma żona w każdym wypadku stosować się niewolniczo do woli męża, ale oboje mają się dać wieść właściwemu woźnicy, którym jest Bóg, ^{albo} ^{święta} ^{Jego} ^{wola}; a jeżeli jedno z małżonków w prawdzie i według Boskich przykazań żyć i według nich wszystko urządzić zamierza, natenczas i drugie winno część lepszą naśladować, a nie wymagać, aby lepsza ślepo za gorszą goniła; wszystko jedno, czy jest nią ta, która spódnie nosi, czy też ta, która się tylko spodnicą okrywa. Tę ^{jest} ^{jedną} ^{nuż}.
(D. c. n.)

Kto mniema, że stoi, niech patrzy, aby nie upadł.

W maju 1497 r. dwaj uczniowie szli gościncem, który prowadził od Mansfeldu do Bernburga, z torbami podróżnymi na plecach, a kijem w ręku, ze łzami w oczach. Byli to Marcin Luter, mający lat 14 i jego towarzysz Reineck, mniej więcej w tymże wieku.

Obaj porzucili domy rodzicielskie i udawali się pieszo do Magdeburga, siedziby arcybiskupa, aby uczęszczać do „Cürren-Schule“, sławnego gimnazjum w średnich wiekach, jakie i do dziś dnia są jeszcze w Saksonii.

Tam każdy chłopiec płacił za swe

utrzymanie i za nauki zapomocą jałmużny, którą mu składali bogaci, pod których oknami śpiewał parę razy na tydzień, albo też którą sobie uzbierał w kościele, gdzie śpiewał psalmy na chórze.

Była to szkoła próby, nędzy, zaparcia się siebie, z niej wychodzili wielcy ludzie, przyszli uczeni niemieccy.

Ale bogacze Magdeburga mało okazywali miłosierdzia, bo Luter, mimo pięknego głosu, jaki posiadał, nie miał czem opłacać swych nauczycieli dłużej niż przez rok jeden. Wyczerpawszy swe ostatnie środki, musiał opuścić szkołę, pożegnał się z towarzyszami i ze swym młodym przyjacielem, który miał więcej szczęścia niż on, wziął kij i torbę podróżną i wyruszył w drogę do Eisenachu, małego miasteczka w Turynгии, gdzie mieszkali krewni jego matki. Przyszedszy do tego miasta, zrzucił swą torbę na ziemię i zaczął śpiewać pod oknem jakiegoś domu porządniejszego. W oknie pokazała się kobieta i, zachwycona jego śpiewem, rzuciła mu kilka monet miedzianych, które on pozbierał z radością, z wdzięcznością spoglądając na swą dobrodziejkę. Kobieta ta, nazwiskiem Cotta, widząc oczy chłopca zwilżone łzami, dała mu znak ręką, aby wszedł do jej domu. Chłopiec podobał się jej i zaofiarowała mu mieszkanie i utrzymanie, jeżeli śpiewem nie zdoła uzbierać sobie na życie. Kupiła mu flet i gitarę, na których się sam grać nauczył, tyle miał pojęcia i zdolności do muzyki.

Uczył się gramatyki u sławnego profesora Treboniusza, który miewał odczyty z głową odkrytą, aby, jak mówił, uczcić konsulów, urzędników, doktorów i profesorów, którzy wyszli z jego szkoły. Żywy umysł, dobra wymowa, wyjątkowa zdolność wysławiania się chłopca zwróciły na niego uwagę. Nie miał równych sobie między współuczniwami.

Stąd on postąpił do sławnej akademii w Erfurcie, gdzie się poświęcił

studjom filozofii i dialektyki. Pewnego dnia, gdy miał w rękę biblię pisaną po łacinie, doznał niewymownego zachwytu, wzrok jego padł na historię o Hannie i jej synu Samuelu. „O Boże, wyrzekł sam do siebie, jakbym ja chciał posiadać taką książkę. Drukarz ni wtedy jeszcze nie było.

Od tego czasu stracił pociąg do studyów prawniczych. Jak mu się zdali teraz nędznymi ci wszyscy sławni doktorowie i profesorowie uniwersytetów w porównaniu z Mojżeszem, lub ze św. Pawłem! Wkrótce potem, gdy już skończył studia filozofii i chciał zacząć studyować fizykę i moralną Arystotelesa, pewien nieszczęśliwy wypadek jeszcze bardziej powiększył jego upodobanie w rzeczach dotyczących się religii: jego najlepszy przyjaciel, młody Aleksy, padł obok niego martwy, rażony piorunem. Luter odrzucił w stronę Arystotelesa i jak św. Paweł na drodze do Damaszku, przerażony podniósł oczy do nieba i zdało mu się, że słyszy głos: „Do klasztoru!“ Wezwawszy pomocy św. Anny, do której miał szczególniejsze nabożeństwo, uczynił ślub, że wstąpi do klasztoru. W nocy opuścił swe mieszkanie, nie pożegnawszy się nawet z kolegami, wziął pod pachę mały węzełek z rzeczami, między którymi znajdował się jeden Tacyt i jeden Vergiliusz i zapukał do furty klasztoru OO. Augustynów. „W imię Boże otwórzcie!“ — „Czego żądacie?“ odezwał się brat furtyan. — „Chcę się poświęcić Bogu.“ — Amen,“ brat odpowiedział i drzwi się otwały.

Nazajutrz Luter odesłał do uniwersytetu swe oznaki profesorskie: togię i pierścień, które otrzymał.

Ta nagła ucieczka narobiła hałasu. Profesorowie posyłali do Lutra kilku uczniów, których on najwięcej lubił, ale on nie chciał się z nimi nawet widzieć i przez cały miesiąc nigdzie się nie pokazywał. Jego rodzice starali się go także odwieść od jego postanowienia, płakali, gniewali się, grozili, ale wszystko napróżno. Jego żarli-

wość była godna podziwiania: modlił się, pościł i umartwiał jak prawdziwy anachoreta z Teb, przejęty bojaźnią na myśl o sądach Bożych.

Nowicyat przebył uciążliwy. Jego przełożeni, zauważywszy jego skłonność do pychy, na wszelki sposób wystawiali na próbę jego powołanie. Luter musiał zamiatać sypialnie, otwierać i zamykać drzwi kościelne, nastawiać zegar i chodzić po kweście z workiem na plecach.

Złożył śluby 1507 r. i tegoż roku otrzymał święcenia kapłańskie. Był to dzień pamiętny, jedna z większych uroczystości w jego życiu, gdy po raz pierwszy odprawiał Mszę św. 2. maja, we 4 tygodnie po Wielkiej Nocy.

„Dziś — pisał do Jana Brauna z Eisenachu — będę odprawiał pierwszą Mszę św. Bądź na niej obecnym. Ja, nędzny człowiek, grzesznik niegodny! Bóg w Swem miłosierdziu niewyczerpanem raczył mię obrać. Będę się starał stać się godnym Jego dobroci i, o ile możliwe dla prochu, jakim ja jestem, spełniać Jego zamiary. Módl się za mną, drogi Braunie, aby moje przynoszenie ofiary miłem było Panu.“ Jak się on czuł szczęśliwym dnia tego!

Tak był żarliwym, że jego pobożność wszystkich budowała. Nie żałował ani świata, ani świetnej kariery, któraby mógł zdobyć swemi talentami i nauką. Żył tylko miłością i pracą — cały swój czas poświęcał modlitwie i nauce. Zapominał nawet o potrzebach ciała. Policzki jego zapadły się, cera zbladła i młodzieniec tak piękny i różowy, gdy chodził śpiewać u drzwi bogaczy, wpadł w rodzaj marazmu, który wzbudzał litość w Mozellanusie. Ten uczony przedstawia go nam tak zwiedniałym i wycieńczonym, że można było wszystkie jego kości porachować. Jego przełożeni obawiali się jakiegoś czasu, aby jego żarliwość nie zniszczyła ostatecznie jego ciała i próbowali zaradzić temu. Staupitz, wicegenerał zakonu Augustynów, który go bardzo polubił i którego Luter kochał nawzajem, rzekł mu raz: „Dość już te-

go, moje dziecko, Bóg już jest z ciebie zadowolonym.“

Spowiadał się z najmniejszych błędów z taką skruchą, jak gdyby to były ciężkie przewinienia i jego spowiednik musiał miarkować jego żarliwość. Ale Luter, rad łączyć się coraz to ściślej z Bogiem, nie słuchał ani Staupitza, ani rad swego spowiednika. Widziano go u stóp ołtarzy, z rękoma złożonemi, z oczami pełnemi łez, wzniesionemi do góry, błagającego Boga o przebaczenie, że tyle czasu przepędził, nie kochając Go. Często wśród nocy padał na kolana i pozostawał aż do rana na modlitwie. Pewnego dnia drzwi jego celi nie otwarły się o zwykłej porze. Jego przełożeni zaniepokoiłi się. Postukano do niego, ale nikt się nie odzywał. Wybito drzwi i znaleziono go w ekstazie, z twarzą pochyloną ku ziemi — zaledwie oddychał. Dopiero muzyka ocuciła go i wróciła mu przytomność.

To były skutki, jakie wywierała na Lutra Boska Eucharystya, gdy był jeszcze czystym i bez grzechu.

Wiemy co później nastąpiło: ten młodzieniec, który już za życia zdawał się być świętym — jak drugi Judasz, który zdradził Chrystusa — odstąpił od Boga i Jego świętej wiary, wpadł w herezyę, sam zginał i miliony dusz pociągnął za sobą do zguby.

Czyż nie przerazi to każdego z nas, choć może nam się zdaje, że jesteśmy mocno w wierze utwierdzeni i wiernie Bogu służymy. — „Kto mniema że stoi, niech patrzy, aby nie upadł!“ (Kor. X 6—13.) Niech te słowa brzmiały w uszach naszych nieustannie i chronią nas przede wszystkim od pychy i zarozumiałości, które są najczęściej pierwszymi zwiastunami upadku. Całą naszą ufność pokładajmy w Bogu, do Niego się uciekajmy natychmiast w każdej pokusie i często powtarzajmy: „O Serce miłości! w Tobie moją pokładam nadzieję; od mojej słabości obawiam się wszystkiego, ale od Twojej dobroci wszystkiego się spodziewam.“

Ze świata katolickiego.

Zjazd katolicki w Warszawie.

Zjazd katolicki, zapowiedziany na pierwsze dni września b. r. w Warszawie, przechodził w programie swych twórców cały szereg faz ewolucyjnych. Początkowo miał to być zjazd archidiecezyi warszawskiej. Miejsce jednak zjazdu, stolica kraju, sprawiło, że wkrótce program zjazdu objął całą Polskę. W dalszym ciągu, szereg zdarzeń ogólniejszej natury spowodował, że zanosi się obecnie nie na bylejakie obelśnianie pewnych dzielnic Polski, ale na wielką manifestację żywiołową Polski całej. To znowu spowodowało inicjatorów, by zjazd ująć w ramy, odpowiadające dostojności całej niepodległej Polski, zacznem między innymi poszło zaproszenie na zjazd najwybitniejszych przedstawicieli katolickiej zagranicy.

Żeby mieć miarę przedsięwzięcia, wy-

starczy zaznaczyć, że lista mówców i referentów, występujących na zjeździe, obejmuje przeszło sześćdziesiąt nazwisk przeważnie ludzi świeckich, i to nazwisk osób w całej Polsce znanych, w przedmiocie, o którym mówić będą, zawodowo wykształconych, a pochodzących z różnych stron Polski, z Warszawy, Poznania, Krakowa, Lwowa, Lublina, Wilna. Ze Lwowa ks. arcybiskup Teodorowicz, z Wilna Parczewski i Zimmermann, z Poznania Prądyński i Laskowski, z Grudziądza Poszwiński, z Krakowa prezes Akademii Umiejętności Morawski, z Lublina Radziszewski i Wójcicki. A cóż dopiero Warszawa... Z wielu wybitnych nazwisk warszawskich wymienimy jedno: generała Hallera.

—::—

Z naszych domów misyjnych

Mówiąc szczerze — za każdym razem ogarnia mię pewna troska, gdy nasza gazetka opuszcza dom misyjny. Taka to ona biedna — bez okładki, bez ozdoby. Od dwóch lat już wychodzi tylko co drugi miesiąc, a zamiast ulepszenia zmuszają nas stosunki do coraz większej oszczędności w papierze, druku i t. d.

Czy to skromne pisemko — takie to sobie nieraz zadaje pytanie — znajdzie jeszcze życzliwe przyjęcie, czy potrafi jeszcze przemawiać do serc czytelników i zachęcać ich do wspólnej z nami pracy? Czy wróci nam jeszcze wydatki, które dziś pochłaniają druk i wysoka opłata pocztowa? Inne gazety co pewien czas regularnie podnoszą prenumeratę. Nie poszedłem za ich przykładem, nie chcąc narazić nasze pisemko na jeszcze większą utratę abonentów, albo może i na zupełną zagładę.

Proszę tedy, kochany czytelniku, niech cię nie zraża ani skromny wy-

gląd, ani zwykły papier, ani prosty druk naszej gazetki. Przyjmij ją życzliwie, jak się przyjmuje dawnego dobrego przyjaciela, który, z powodu trudnych stosunków, skazany jest na łaskę i dobroć innych. Masz z pewnością dosyć i twoich własnych kłopotów — bo kto by ich nie miał — ale niech to nie będzie ci przeszkodą wspierać według możliwości to, co jest wzniosłe i szlachetne, jak nasze dzieło misyjne.

Dziwnie Pan Bóg wynagradza wszystko, co człowiek czyni na chwałę Jego. Właśnie w tych dniach słyszałem o następującem wydarzeniu. Opowiem je krótko. Może przyda się niejednemu.

Jechało niedawno grono podróżnych do W... Rozmawiano o ciężkich czasach i narzekano na drożyznę. Nareszcie odezwał się też pewien pan w średnim wieku, który dotychczas siedział w milczeniu w kącie wagonu. „Ja, proszę państwa, zawsze mam

dość pieniędzy, mam na to pewien sposób, a polecić go mogę każdemu.“ Nie był to ani bogacz, ani paskarz, więc wszyscy byli ciekawi, jak on sobie radzi. Na ogólne naleganie opowiedział ten pan swoją historię:

„Przed laty — tak mówił — przebywałem w okolicy, gdzie lud był jeszcze głęboko wierzący. Ogromnie się do tego ludu przywiązałem, a szczególnie lubiłem gawędzić z jednym poczciwym staruszką. Siedzimy raz sobie wieczorem na ławeczce, a on mi opowiada, że zna środek, który na pewno chroni od biedy i niedostatku; ręczę panu, że pan będzie miał zawsze pieniądze w kieszeni, trzymając się moich wskazówek. Byłem wtedy młody i nie bardzo gospodarny, bo zazwyczaj w drugiej połowie miesiąca bez grosza. Wzięła mnie tedy ciekawość, jaki to może być środek. Ale jakoś dziwnem — nawet śmiesznem mi się wydało, gdy staruszek z całą powagą oświadczył, że mam co rok część mego zarobku ofiarować na dobre cele. Ale trzeba dawać — dodał — nie tak przypadkowo, tylko regularnie, systematycznie. Płacimy podatki, odkładamy pewną kwotę na mieszkanie, ubranie, rozrywki i t. d., tak samo Bogu trzeba pewną część oddawać. Bóg ma Swoje plany na ziemi, a chce, żeby zostały przeprowadzone za pomocą naszej pracy i naszych ofiar.“ Słowa staruszka nie wychodziły mi z głowy i postanowiłem na koniec zrobić chociażby próbę. Skutek był taki, że od tego czasu, a jest to już więcej niż 25 lat — praktyki tej nie zaniechałem. Daję na różne dobre cele, notuję to sobie starannie, a pieniądz wraca regularnie do mej kieszeni pomnożony kilkakrotnie.

Kochany czytelniku! Z pewnością nieraz wspierasz dobre dzieła. Proszę Cię pozostań też wiernym współpracownikiem Pana Jezusa i przyjacielem wszystkiego co dobre i wzniosłe. A niech Cię własne kłopoty i troski nie uczynią twardym i nieczułym na potrzeby Kościoła św. Bóg chce, żeby

Jego dzieła istniały i rosły pomimo ciężkich czasów, które przeżywamy. On chce, aby i nasz dom rozwijał się dalej pomyślnie. On też pobłogosławi Twojej jałmużnie i wróci Ci stokrotnie, co Jemu ofiarujesz.

Co dziś kosztuje utrzymanie domu, o tem już lepiej nie pisać. Co przed rokiem kosztowało siedm tysięcy, kosztuje dziś 70 tysięcy, a widoki na przyszłość nie są lepsze — prędzej gorsze. Gorąco tedy polecamy nasz dom wszystkim ludziom dobrej woli i dobrego serca.

Propozycja wszystkim czcicielom św. Józefa.

W zeszłym roku, w jesieni, gdy mieliśmy tak mało zboża na chleb codzienny — postawiliśmy w naszym refektarzu na wzniesieniu statuę św. Józefa.

Nadzieja w pomoc św. Józefa nas nie zawiodła. Mielśmy wprawdzie czasem bardzo mało chleba, a zawsze był on zmieszany z ziemniakami i z mąką owsianą, ale jednak przeżyliśmy szczęśliwie cały rok szkolny. W tym roku trudności z wyżywieniem będą jeszcze większe. Pomiedzy naszymi czytelnikami znajduje się, jak wiemy, wielu czcicieli św. Józefa. Robimy im następującą propozycję:

Żywność dziś więcej znaczy niż pieniąż. Niektórych rzeczy, jak np. tłuszczów wogóle dziś dostać trudno. Gdzie jest kilka osób tam można sobie jako tako zaradzić, ale nie w domu, w którym tych osób jest 50—60.

Jeden funt albo kilo masła, szmalcu, lub słoniny każde gospodarstwo może i dziś odstąpić, nikt przez to nie zubożeje. Wielkie znaczenie ma też dla nas groch, albo fasola, bo i pożywne i strawne dla młodzieży. Nie jesteśmy wybredni, z wdzięcznością przyjmujemy wszystko, co kto nam zechce przysłać. Kto nam dopomoże?

Może kto będzie miał trudności z opakowaniem i przesyłką. Dopomożemy w tem wedle możliwości. Z chęcią wyślemy woreczki, kartony, papier

i sznur do opakowania wszystkim, którzy zażądata. Proszę nas tylko zawiadomić i podać swój adres. Chętnie i opłatę pocztową przyjmujemy na siebie.

W nadziei i w przekonaniu, że nasza prośba nie będzie daremna, będziemy odprawiali co środę w naszym domu Mszę św. do św. Józefa za wszystkich ofiarodawców. Dołączamy do tego zeszytu listy, na które prosimy zapisywać swoje intencje.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa wierni przynosili do ołtarza różne ofiary, ofiarowali też żywność na utrzymanie kapłanów i służby kościelnej. Niech się i teraz dzieje podobnie. — Ofiarodawcy niech wymieniają, jak dotychczas, swoje intencje, a my je zaniesiemy do ołtarza i polecimy potężnemu wstawiennictwu św. Józefa.

Wobec spadku

naszej waluty pieniężnej coraz trudniej zamawiać osobne Msze św., a prawie niemożliwie gregoriańskie Msze św. Rzecz jasna, że Msza św. nie należy do rzeczy, które można kupić, albo opłacić pieniędzmi. Jednak ustaliła się między wiernymi pewna taksa, jako ofiara odpowiednia dla kapłana odprawiającego Mszę św. w wyznaczonej intencji. Przed wojną ta taksa wynosiła 2—3 marki. Dziś 300 Mk. znaczy mniej niż parę marek przed wojną.

Wobec tego polecamy nasze Msze św. wspólne, na które przyjmujemy i mniejsze ofiary. Odprawiamy je co czwartek, piątek i sobotę — co czwartek w zastępstwie Mszy św. Gregoriańskich (52 Msze św. na rok), w piątek na intencje zmarłych, w sobotę na intencje żyjących.

Odpowiednie karty ze spisem intencji i ofiar dołączamy do naszej gazetki.

Ofiarodawcy mają dwojaką korzyść: naprzód udział we wszystkich tych Mszach świętych, odprawianych co tydzień przez cały rok — następnie mają zasługę przed Bogiem, bo swoją jałmużną przyczyniają się do utrzy-

mania naszego dzieła misyjnego. Z pewnością i duszom zmarłych taka ofiara przyniesie wielką ulgę i pociechę.

Właśnie gdy nasza gazetka idzie do druku, otrzymuję bardzo dla nas pocieszającą wiadomość, że zabiegi nasze o kupno nowego domu zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem.

Nowy dom

leży około 6 kilom. od Nakła — w Wielkopolsce. Jest on wielki, z obszernym ogrodem, pozostał po parcelacji większego majątku. Miejscowość nazywa się Suchary. Kolonista niemiecki musiał się wynieść, a nasz Urząd osadniczy przyznał nam tę posiadłość ze względu na szlachetne cele naszej Kongregacji. Jaka jest cena kupna — jeszcze nie wiemy. Ale będzie to twardy orzech do zgryzienia, chociaż Urząd nam odda majątek za stosunkowo niską cenę. O tem wszystkim na razie tyle. Obszerniejsze wiadomości udzielimy w następnym zeszycie.

OD REDAKCYI.

Otrzymamy znowu wkrótce z drukarni pewną ilość

książeczek do nabożeństwa.

Mamy obecnie na składzie:

„Przewodnik do Komunii św.“,

„Błogosławieni miłośni“,

„Wiel. Ks. Wincenty Pallotti“,

„Kongregacja misyjna XX. Pallottynów“,

Zeszyty „Królowej Apostołów“ i „Małego Apostoła“ z dawniejszych lat, Obrazy Serc Jezusa i Maryi (olejodruki na kartonie 52×35 cm).

(Wobec ciągłego spadku waluty ceny nie dadzą się z góry na dłuższy czas oznaczyć.)

Listy i przesyłki pieniężne prosimy przysyłać tylko pod następującymi adresami:

XX. Pallottyni — Wadowice, Małopol.
albo

XX. Pallottyni — Nakło, Poznańskie.

Dla przesyłki pieniędzy posiadamy konto czekowe w Warszawie, w Poznaniu i dla tych co mieszkają w Niemczech — we Wrocławiu.